

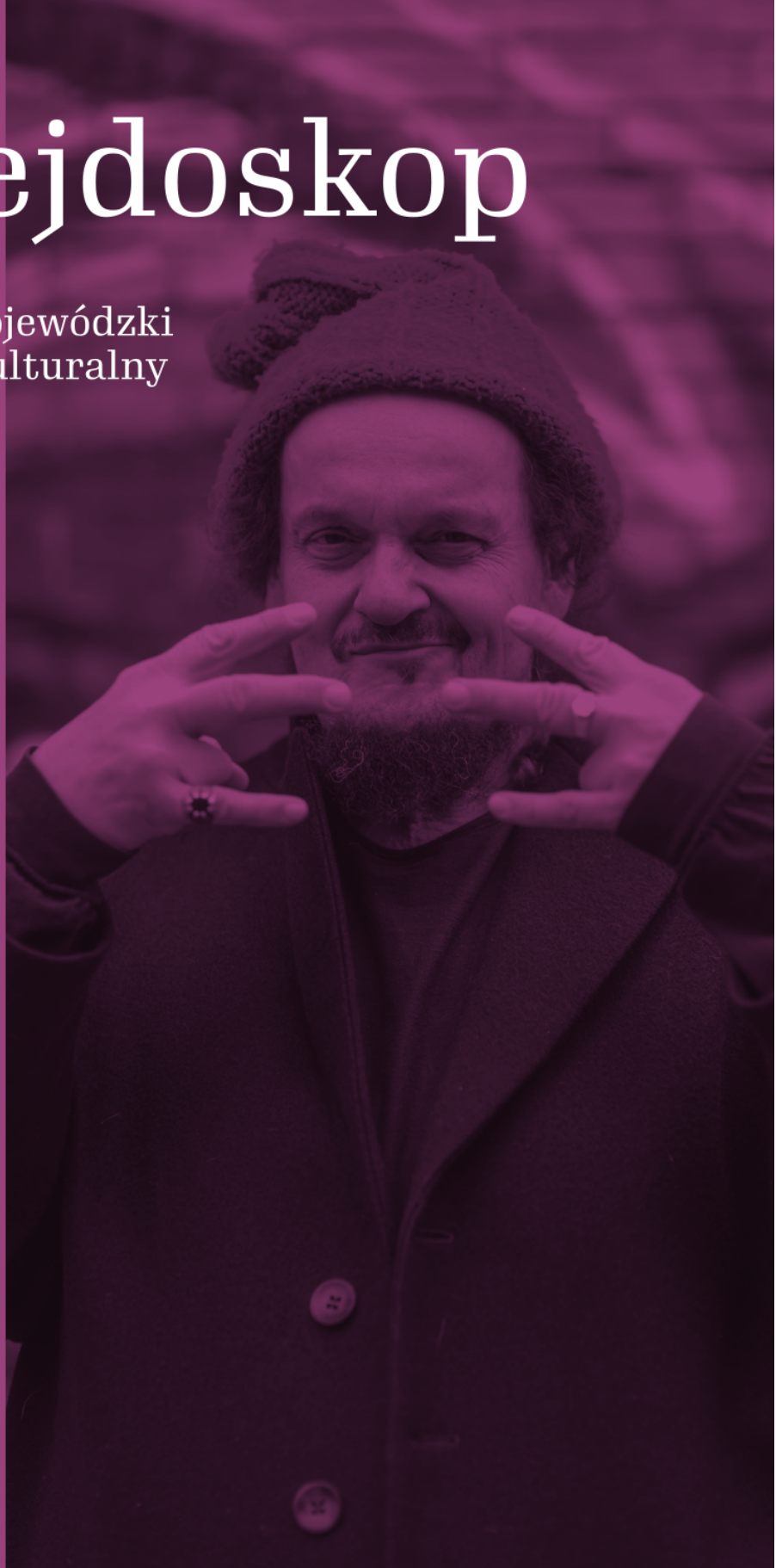
kalejdoskop

02/2025 wojewódzki
magazyn kulturalny



Łódź

nr ind. 323489
ISSN 0860-3057
cena 5 zł
(w tym 5% VAT)



Tomasz Konieczny,
światowej sławy
bas-baryton,
w Filharmonii Łódzkiej
podczas recitalu
z pianistą
Lechem Napierałą,
22 I 2025



Fot. Dariusz Kulesza / Filharmonia Łódzka



Katarzyna Karpowicz
„Żółty / Yellow”, 2024
– wystawa „Raz się żyje,
raz się nie żyje”
w Galerii Willa,
czynna do 16 II

Na okładce: Mariusz Wilczyński,
artysta, autor filmów animowanych
– wywiad i galeria na str. 35–42
Fot. Piotr Kamionka

Adres redakcji

Łódzki Dom Kultury
ul. Dowborczyków 18, 90-019 Łódź
tel. 797 326 217
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

www.e-kalejdoskop.pl

Informacje o imprezach

prosimy przysyłać na adresy

kalejdoskop@ldk.lodz.pl
kalendarium@ldk.lodz.pl

Redakcja

Bogdan Sobieszek – redaktor naczelny
Aleksandra Talaga-Nowacka

Projekt graficzny

Marta Krzemień-Ojak, Leniva° Studio

Skład

Aleksandra Gruszczyńska
Justyna Purczyńska-Zieleniewska

Druk

SilverPrint
ul. Gliniana 13
91-336 Łódź

Nakład 1300 egz.

Prenumerata

Nie mogą Państwo znaleźć „Kalejdoskopu”
w sklepie lub w kiosku?

Można zaprenumerować go w redakcji.

Wystarczy wpłacić na konto
Łódzkiego Domu Kultury
(44 1020 3352 0000 1002 0014 2562)
kwotę 98 zł, a poczta dostarczy
co miesiąc egzemplarz „Kalejdoskopu”
(jedenaście kolejnych numerów).
Na kalejdoskop@ldk.lodz.pl należy przesłać
swoje dane do wysyłki wraz z informacją,
od którego numeru ma się zacząć prenumerata.



łódzki
dom kultury

województwo ©
łódzkie

Institucja Kultury
Samorządu Województwa
Łódzkiego

Noblista na łamach

Bogdan Sobieszek, redaktor naczelny

Próbował aktorstwa, krawiectwa, był urzędnikiem kolejowym, a nawet medium. Jednak to literatura okazała się przeznaczeniem Władysława Stanisława Reymonta. Jego droga, zwieńczona Noblem, rozpoczęła się na początku lat 90. XIX wieku publikowanymi w prasie nowelami oraz reportażami z pielgrzymki na Jasną Górę i podróży do Włoch. Relacja z pielgrzymki, zamieszczona w odcinkach w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym”, pokazuje cechy pisarstwa Reymonta – wnikliwość obserwacji, poetyckość opisów, umiejętność dostrzegania istotnych szczegółów, które stają się punktem wyjścia dla uogólnień trafnie charakteryzujących rzeczywistość. Ujawnia również właściwe młodemu wiekowi bezkompromisowość sądów i subiektywizm. Ostrej krytyce Reymont poddaje zdobienia wnętrz odwiedzanych kościołów, a jednocześnie potrafi zachwycić się żarliwością wiary prostych ludzi czy pięknem wiejskiego krajobrazu. Czytając „Pielgrzymkę do Jasnej Góry”, widzimy, że nie odbiega ona zanadto od dzisiejszych standardów dobrego dziennikarstwa, choć świat jest już zupełnie inny. Przede wszystkim kończy się epoka prasy drukowanej, która przez ponad 400 lat zaspokajała ludzką ciekawość, potrzebę informacji. A gazety za czasów młodego Reymonta wciąż były jedynym oknem na świat i kuźnią talentów literackich. Dopiero później upowszechniły się radio, telewizja, wreszcie internet (Marconi rozpoczął eksperymenty z przesyłaniem fal radiowych dokładnie w roku opublikowania „Pielgrzymki”). Prasa jednak wciąż się ukazuje, niektóre tytuły w Europie liczą swoją historię od połowy XVII wieku. Może nie co dzień goszczą na jej łamach nobliści, jak to niegdyś bywało. A Reymont, no cóż... dla niego pisanie okazało się łatwiejsze niż prowadzenie majątku ziemskiego. ¶

Spis treści

10 Światowy Primuz.
Bogdan Sobieszek

14 W głąb Zanussiego.
Mieczysław Kuźmicki

15 Posłuchaj tej fali.
Andrzej Poniedziałki

Temat numeru

18 Pielgrzymując z Reymontem.
Piotr Grobliński

23 Reymont – chwilowo ziemianin.
Andrzej Sznajder

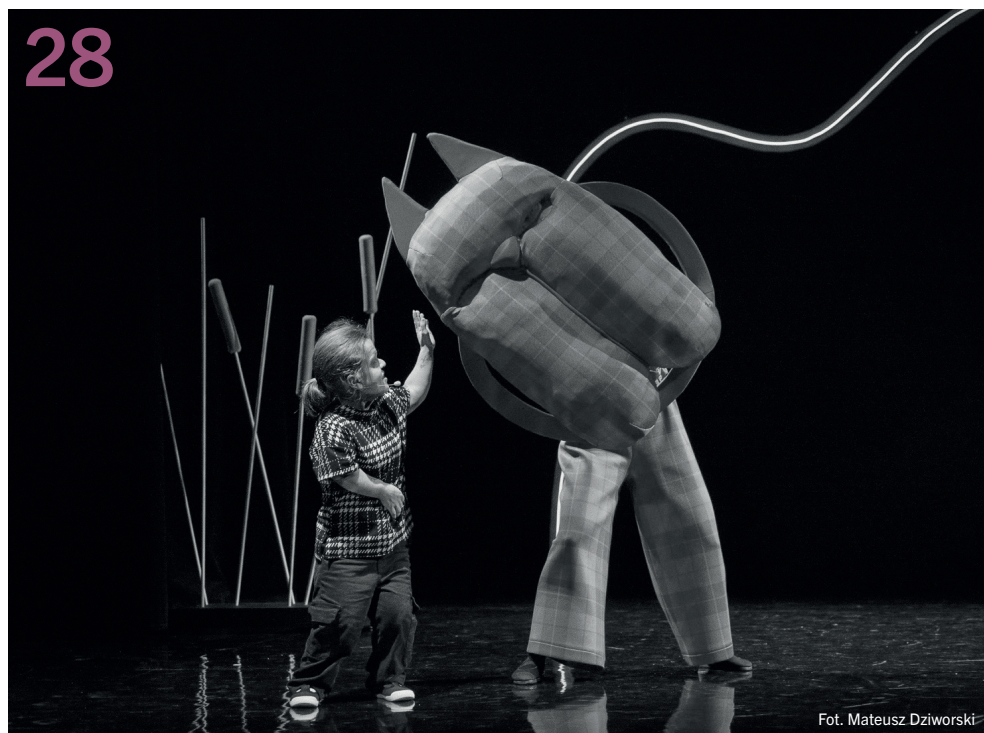
26 Puentą przełamując fale.
Michał Kędzierski
Piotr Grobliński

28 Teatr różnorodny.
Rozmowa
z Bartoszem Kurowskim

31 Sztuka czasów komfortu.
Łukasz Barys

32 Przetrawianie Łodzi.
Aleksandra Talaga-Nowacka

35 Galeria Kalejdoskopu
Mariusz Wilczyński



43 Zarządzanie to też
działanie twórcze.
Rozmowa
z Arturem Chrzanowskim

Region

48 Chińczycy nie dali rady.
Bogumił Makowski

52 Literat z komiksowym zacięciem.
Piotr Kasiński

54 Paterson daje możliwość.
Łukasz Maciejewski

56 Stagnacja na dobrym
poziomie.
Rafał Gawin

62 Talenty za grosz.
Dariusz Bilski

64 Korektorka z wałkiem.
Bogumił Makowski

67 Lecia lecą.
Pienisty

68 Kalendarium



Fot. Ewelina Kur...

Pielgrzymując z Reymontem

Niektórzy uznają „Pielgrzymkę do Jasnej Góry” za pierwszy polski reportaż, na pewno jest jednym z pierwszych, choć sam autor daje podtytuł „Wrażenia i obrazy”. Podobnie jak Władysław Stanisław Reymont zarówno sam gatunek, jak i słowo „reportaż” dopiero zaczynały swoją karierę.

Piotr Grobliński

Napisana i opublikowana w 1894 roku „Pielgrzymka do Jasnej Góry” była momentem zwrotnym w literackiej karierze Reymonta. Autor miał już za sobą kilka opublikowanych w prasie nowel, kilka rękopisów (w tym kończoną w tym czasie „Komediantkę”), w zawodowym życiorysie kilka ciekawych profesji – był aktorem, urzędnikiem kolejowym, czeladnikiem krawieckim, a nawet... medium. Przed sobą – wielkie powieści, zagraniczne podróże, uznanie, małżeństwo, epizod ziemiański i Nagrodę Nobla.

Debiutował w 1892 roku. Wkrótce po wziął zamiar poświęcenia się literaturze i nawiązał współpracę z warszawskimi pismami. Redaktor jednego z nich, Aleksander Świętochowski, namówił go na napisanie relacji z dziesięciodniowej pielgrzymki na Jasną Górę, która miała wyruszyć z Warszawy 5 maja 1894 roku. Pielgrzymkę z wielu polskich miast organizowano

dla uczczenia setnej rocznicy insurekcji kościuszkowskiej. Reymont skończył utwór 30 maja, druk warszawski „Tygodnik Ilustrowany” rozpoczął w połowie czerwca. Poszczególne części ukazywały się w numerach 24, 25 i 27–36, a w formie książkowej całość została wydana przez oficynę Gebethner i Wolff (Warszawa 1895).

Wyruszyli z warszawskiej Pragi. „Idę wyekwipowany jak można najskromniej; długie buty, jakaś sędziwa okrywka, płaski kapelusz i parasol nie odróżniają mnie zbyt od tłumów zgromadzonych na placach i drogach przed kościołem. Nikt zresztą na mnie uwagi nie zwraca, wszyscy są zbyt zajęci przygotowaniami do wyruszenia w drogę i spoglądaniem na zachmurzony horyzont”. Pierwsza wieś na trasie to Ochota, potem Raszyn, Łazy, Tarczyn (nazwy miejscowości dają tytuły kolejnym rozdziałom opowieści). Na ogół Reymont zaczyna od krótkiego opisu

„[...] znowu stoję
w ciszy, zasłuchany
w falowanie tego morza
ludzkiego...”



miejsca: „Czworobok wypełniony przeważnie murowanymi domami. Czuć tu jeszcze Warszawę. Tablica na rynku powiada, że miasteczko ma 74 domy, a jakiś cicerone miejscowy objaśnia mnie, że prócz wielu instytucji publicznych, Tarczyn posiada 24 szynki, czyli co trzeci dom – szynk. (...) Kościół, w jakimś bezstylowym stylu, wznosi na szosę ciężką fasadę”. Bardziej podoba mu się w Grójcu („Bardzo przyzwoite miasto powiatowe”), w Belsku zachwycają go kwitnące kasztany i śpiewające w sadach słowiki. Ich wiosenne trele mieszają się z pieśniami modlącego się ludu, co zostaje opisane w prawdziwie młodopolskim stylu. „Dusza jakby się podnosiła ze znużenia i jakby na tych rytmach śpiewów, grania, pieśni słowiczych, woni i barw, rozwijała skrzydła, potężniała, rozszerzała się w nieskończoność i piła rozkosz i zapomnienie w tym źródle piękna”. Łęczeszycze i Mogielnica nie robią na

pisarzu wielkiego wrażenia („miasteczko jak tysiące innych”), więcej uwagi poświęca Nowemu Miastu (nad Pilicą), nie mogąc się nadziwić, że tak niechlujne miasteczko ma być uzdrowiskiem z zakładem wodoleczniczym. „Może i dlatego tak mi się nie podobało to dzieło rąk ludzkich, że miałem oczy i mózg olśnione przepychem królewskim pól i lasów”. Tymi polami i lasami – po przejściu mostu na Pilicy – idą w kierunku wsi Różanna, a potem odwiedzają kaplicę pw. św. Marii Magdaleny, postawioną na miejscu średniowiecznej pustelni. Wzgórze (na mapie trzeba go szukać koło wsi Stanisławów, na granicy województw mazowieckiego i łódzkiego) jest miejscem pochówku powstańców styczniowych. Reymont o tym nie wspomina (w zaborze rosyjskim działała surowa cenzura), ale być może odniósł się do tego faktu aluzyjnie, przywołując smutny wiersz Marii Konopnickiej.

Reymont — chwilowo ziemianin

Z okazji Roku Władysława Reymonta chciałbym przypomnieć fenomen jego efemerycznej ziemiańskiej działalności – w latach 1912–13 był właścicielem majątku Charłupia Wielka w powiecie sieradzkim. Marzył o sielskim życiu na wsi, lecz pod ciężarem długów i wobec nieznajomości zasad prowadzenia gospodarstwa rolnego ambitny plan noblisty szybko legł w gruzach.

Andrzej Sznajder

Jak to się stało, że Władysław Reymont został ziemianinem? Na zakup posiadłości namówił pisarza poznany we Francji Feliks Radoński, pan na pobliskim Kobierzycu. Znał on dobrze „sieradzkie obywatelstwo” i wiedział, że były carski generał Mikołaj Kosman parceluje posiadłość Charłupia Wielka i wyprzedaje z niej, co się da. Spotkanie z Radońskim odbyło się na początku stycznia 1912 r. w paryskim mieszkaniu Władysława Mickiewicza, syna wieszczki. Reymont przybył do Sieradza, obejrzał resztówkę z dworem, jaka pozostała z charłupskiego majątku, i 18 lutego nabył ją rejentalnie za dość wygórowaną sumę 38 tysięcy rubli.

Twórca pisał o tej transakcji w liście do swojego siostrzeńca Mieczysława Jakimowicza z 18 marca: „Później wyjeżdżałem, jak wiesz, do kraju, na kupno owej Charłupi, a to mi zajęło dwa tygodnie czasu i tak się zwlekło”. Z innych źródeł wiemy, że Aurelia i Władysław Reymontowie przeprowadzili się z Paryża do Charłupi już w połowie kwietnia. Pisarz wziął ze sobą także matkę wspomnianego Jakimowicza, Katarzynę – swoją najstarszą siostrę. Miał bowiem nadzieję, że zajmie się ona gospodarstwem i wprowadzi w tajniki tej wiedzy Aurelię, która nie miała bladego pojęcia ani o życiu, ani o pracy na wsi.

Szybko okazało się, że majątek jest bardzo zaniedbany i zadłużony. Ta dawna posiadłość Walewskich została po powstaniu styczniowym sprzedana przez Leona Walewskiego niejakiemu

Władysław Reymont
siedzi (z prawej) przed
pałacem w Małkowie
(w środku Walentyna
Pstrokońska), 1912 r.



Fot. ze zbiorów Muzeum
Miasta i Rzeki Warty w Warcie

Kuczyńskiemu, który ją w dużej części roztrwonił. Na licytacji majątek nabył wtedy Konstanty Kossman – nie mieszkał on w Charłupi na stałe, polecił więc swojemu plenipotentowi dokonanie parcelacji, o której to dowiedział się Radoński.

Gospodarowanie szło różnie: „U nas na wsi, zwłaszcza z początku, kłopoty, straty i wieczny brak gotówki, a nadmiar powietrza, nieba, ciszy, ogórków i owoców” – pisał Reymont w liście z 18 sierpnia do wspomnianego siostrzeńca. W sumie jednak było nie najgorzej, zwłaszcza że przyszło ciepłe i wilgotne lato. Pani Aurelia, chociaż tęskniła za Warszawą, o Paryżu nie wspominając, czuła się na wsi całkiem dobrze. Robiła nawet plany na następną zimą. Zamierzała wyjechać razem z mężem do Zakopanego, by od podhalańskich górali nauczyć się kilimkarstwa i potem urządzić w Charłupi małą fabryczkę kilimów.

Z czasem Reymontowie weszli w kulturalny świat sieradzkiej prowincji. Wielokrotnie bywali u Radońskich w Kobierzycu i w pałacu Pstrokońskich w Małkowie, serdecznie przyjmowani przez Walentynę Pstrokońską, znaną w całym Królestwie Polskim mecenaskę sztuki. Co

lato zjeżdżali do Małkowa znani polscy artyści, a jeden z nich, Zygmunt Andrychiewicz, osiadł tam niemal na stałe. Pod jego kierunkiem córka dziedziczki – Maria, uczyła się malarstwa. Z racji częstych odwiedzin swój pokój miał w małkowskim pałacu także Reymont. Jednak najchętniej spacerował po rozległym parku lub przeglądał przepastne zbiory tworzonej od dziesiątków lat biblioteki.

Panie Pstrokońskie, oczarowane twórczością Reymonta, jeszcze za życia pisarza wystawiły mu w parku pomnik-popiersie autorstwa Stanisława Jagmina. Podczas okupacji pomnik został zburzony przez Niemców, ale dziś stoi na swoim miejscu, odtworzony przez powojennych artystów.

Reymontowie przyjaźnili się też z Walewskimi z Tubądzina i Inczewa oraz Grodzickimi z Wrzącej. Ale w skomplikowanych sprawach gospodarskich najczęściej pomagał pisarzowi obeznany z rolnictwem Radoński. Krewna pana Feliksa, Alina Łubieńska, wspominała kiedyś, że do Kobierzycy często wpadał konny posłaniec z Charłupi, przywożąc krótkie kartki z pytaniami dotyczącymi siewu, hodowli czy zbiorów.

Czekając na dzieło

Dokładnie pięć lat temu – na 70. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie – pełnometrażowa animacja Mariusza Wilczyńskiego „Zabij to i wyjedź z tego miasta” po czternastu latach produkcji ujrzała światło dzienne. Potem była pokazywana na najważniejszych imprezach filmowych na świecie i w Polsce. Osobisty obraz poruszył widzów i zdobył blisko 50 prestiżowych nagród (w tym Złote Lwy na festiwalu w Gdyni). Dziś w pracowni na Łódzkim Księżym Młynie Mariusz Wilczyński tworzy kolejny film pod roboczym tytułem „Na mój grzeb w czerwonej sukni przyjdź”.

Agata Gwizdała: Trudno było zostawić za sobą sukces, żeby wejść w nowy projekt?

Mariusz Wilczyński: Bardzo. Myślałem, że zaraz po Berlinale zacznę pracować nad nowym filmem. Ale ten, jak pani to nazwała, sukces wybił mnie na ponad dwa lata. Nie mogłem zająć się niczym innym, bo praktycznie cały czas musiałem mówić o „Zabij to...”. Poza tym zdarzyły się rzeczy, których w ogóle się nie spodziewałem.

Jak potoczyło się drugie życie filmu?

Najpierw była duża wystawa w Zachęcie w Warszawie. Czteromiesięczna. Potem ekspozycja w Krakowie, w tarnowskim BWA. Wystawa w Muzeum Kinematografii w Łodzi miała trwać dwa miesiące, ale z powodu wysokiej frekwencji została przedłużona do pół roku. Ludzie pytali, czy mogą sobie zrobić tatuaż z rysunków z „Zabij to...”. Potem przysyłali mi zdjęcia. To był niezwykle intensywny czas. I chociaż może to brzmieć trochę fałszywie,

proszę uwierzyć, że to prawda – marzyłem, żeby stworzyć przestrzeń w głowie na nowy film i cały czas jej nie miałem. Szczególnie, że „Zabij to...” miało premierę w 2020 roku, a dla mnie ten film był skończony już w 2018 roku. Ta historia w mojej głowie była wtedy już zamknięta. Potem zajmowaliśmy się postprodukcją, szlifowaniem.

A wcześniej praca nad filmem trwała kilkanaście lat.

To jednak był proces twórczy, najpiękniejsza przygoda i najpiękniejsza podróż w moim życiu. Ale w tej chwili odbywam kolejną.

Podróż, której celem jest „Na mój grzeb w czerwonej sukni przyjdź”?

To tytuł roboczy, co do którego mam pewne obiekcje. Znowu jest długi, taki bardzo poetycki i znowu trochę kojarzy się z Tadeuszem Nalepą, z Bogdanem Loeblem i z Breakoutem. Mam drugi pomysł, ale każdy,



Zdjęcia: Piotr Kamionka

Mariusz Wilczyński
na Księżym Młynie

z kim rozmawiam, mówi, że ten roboczy jest mocny i dobry. I być może zostanie.

Co to będzie za historia?

Myślę, że to będzie opowieść o przewartościowaniu tego, co jest ważne w życiu. I o wycofaniu się ze świata takich wartości, które w dzisiejszych czasach dominują. O funkcjonowaniu na uboczu i nagłym odnalezieniu sensu życia, mówiąc w skrócie. Nie jestem poetą, więc nie potrafię tego tak dobrze powiedzieć, jak – mam nadzieję – narysuję. Poza tym film trochę ewoluował, bo niezwykle ważne artystycznie było dla mnie spotkanie z Januszem Gajosem.

To jeden z tych wybitnych głosów, który w filmie będzie można usłyszeć?

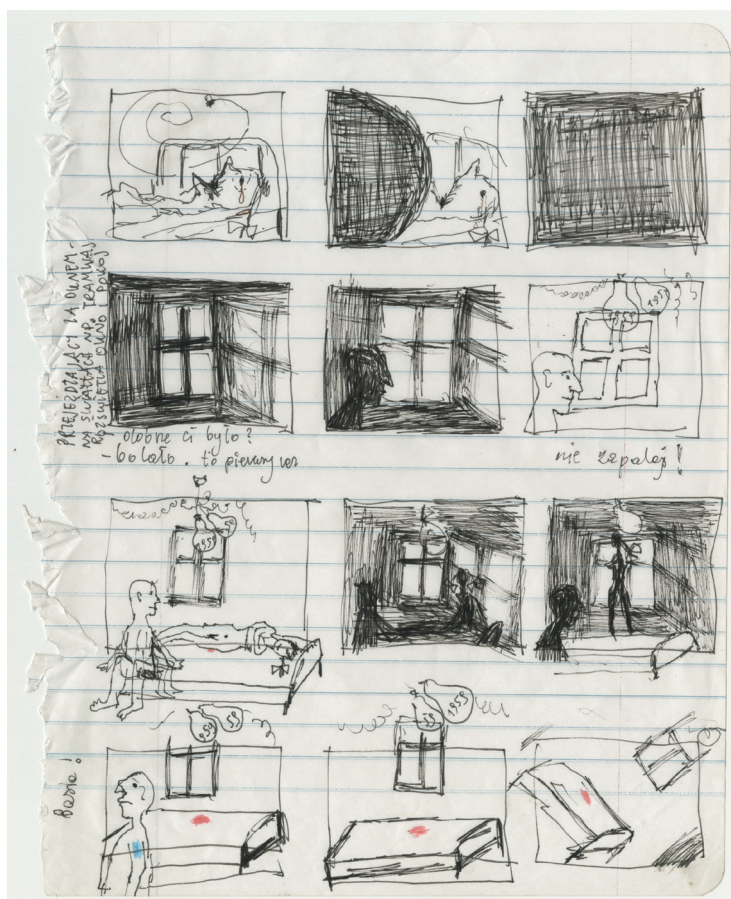
Taką mam metodę. Wszystko zaczęło się od pani Ireny Kwiatkowskiej jeszcze przy „Zabij to i wyjedź z tego miasta”. Wiedziałem, że chcę mieć ją w filmie. Pani Irena miała wtedy 97 lat. Natychmiast napisałem dialogi i pojechaliśmy do niej z dźwiękowcem Franciszkiem Kozłowskim do Skolimowa. Kiedy ją nagraliśmy, przekonałem się, jaką dużą energię zwrotną mi dała, jak bardzo mnie zainspirowała.

A w najnowszym filmie tym pierwszym artystą był właśnie Janusz Gajos?

Nie, przyznaję się bez bicia. Był na liście aktorów, ale nie przewidywałem głównej postaci w tym filmie. Natomiast ogromne wrażenie zrobiła na mnie praca z Januszem Gajosem, który na początku w ogóle nie chciał się zgodzić. To była przedziwna historia.

Proszę opowiedzieć...

Najpierw rozmawiałem z małżonką Janusza Gajosa, która jest też jego agentką. I ona cały czas mi odmawiała. Wiedziałem

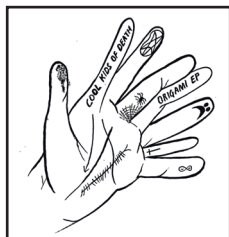




Stagnacja na dobrym poziomie

To nie był wybitny rok w muzyce naszego regionu. Sprawdzili się ci, którzy mieli się sprawdzić. Pop był w odwrocie (chyba że zaliczyć do niego Zuzannę), hip-hop uderzał, stosując nie tylko znajome chwytły poniżej pasa (zwłaszcza O.S.T.R.), a Cool Kids of Death przywrócił wiarę w (punk) rocka. Wtórowała mu Kosa Śmierci. Poziom trzymały Hedone i Alles.

Rafał Gawin



Wydawnictwa

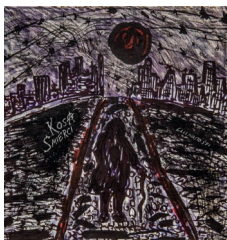
W takim roku wybór najlepszego materiału może być jeden: Cool Kids of Death – „Origami” EP (Mystic), czyli raptem siedem kawałków (w tym cover Electric Rudeboyz), mniej niż pół godziny muzyki. Po trzynastu latach nowe otwarcie, i to jakie! Moc, świeżość i pasja, jakby Ostrowski,

Wandachowicz i spółka znowu mieli po 18 lat, oraz chyba najbardziej wulgarne teksty w historii III RP – doskonały przykład na to, jak w opisie rzeczywistości, szczególnie łódzkiej, zagrać bluzgiem, by znaczyć, a wręcz bolał. Nie cytuję, bo mi wytną. W porównaniu do wcześniejszych dokonań grupy jest szybciej, dynamiczniej, z niesamowitym wyczuciem prostej konstrukcji, jaką jest piosenka w schemacie zwrotka-refren. Melodie wkręcają się w pamięć na długo, tak są gustownie przebojowe. Zwłaszcza w „Żarcie”, z piękną pracą gitar. Saksofon pod koniec „Ciagle” – znakomity! Wszystko się zgadza, również oprawa graficzna Bolesława Chromrego, a nawet dodatkowy wokal Belmondawga w nieco stonowanym songu tytułowym. Miasto Łódź tańczy, śpiewa i konstruktywnie się buntuje.

Dalsza kolejność omawianych wydawnictw jest raczej przypadkowa i wynika z podziału na gatunki muzyczne.



Co zrobić, żeby muzykę fortepianową uatrakcyjnić dla odbiorcy przyzwyczajonego do kilku instrumentów w tle? Po brawurowych i nowoczesnych interpretacjach Komedii Maciej Tubis proponuje album z autorskim materiałem – „Into the Night” (produkcja własna). Przestrzenne kompozycje z wykorzystaniem syntezatorów, momentami w klimacie rocka czy power metal (to nie przytyk, tylko sugestia: wykorzystujecie wszechstronność Tubisa!) – barwne, ilustracyjne, domagające się dla siebie obrazu. Kolejny krok Tubisa: skomponowanie ścieżki dźwiękowej do filmu.



Po trzech latach od debiutu „Nie żyję” Kosa Śmierci wraca z tarczą. Do albumu „Całe miasto śpi” (Case Studio) okładkę i książeczkę zaprojektował Marcin Pryt, co już na starcie wprowadza odpowiedni nastrój. Odpalam – uderza potężna dawka energii i skojarzenia nasuwają się same: Dezerter, Budzy i Trupia Czaszka, Wieże Fabryk, Dead Kennedys, gdzieś pobrzmiewa wczesna Republika i The Sisters of Mercy. Wszystko bardzo inteligentnie połączone. Agresywne wokale wołają o pomstę, niekoniecznie do nieba, bo przecież wspólnym mianownikiem jest punk: ten pierwotny, brytyjski, polski garażowy, również spod znaku oi!, wreszcie post-punk – i może dlatego niektórzy recenzenci doszukują się w tej propozycji także ambientu (intro i outro pasują do tego porządku). Ale łódzki skład serwuje też niemalże taneczny rock’n’roll („Rasputica”). Przesłanie jest mimo wszystko łagodne: „Nie zadzieraj z władzą, bo dostaniesz w ryj” – jak to brzmi w Łodzi?



Big Cyc prochu nie wymyśli, choć przecież nie tylko z niego potrafi ukreślić bat. „Manifesto” (Rock Revolution) to comedy punk wymierzony tym razem w szarą polską rzeczywistość. Zdecydowanie mniej tu realnej polityki, nie ma refrenów typu „kochać PiS”. Pojawia się za to więcej tematów bieżących w klimatach biesiadnych, z uwzględnieniem polskiego reggae, a więc przy ściszeniu gitar. Zakupy, plaża i „mamy moc”, odrobina lokalnego patriotyzmu, ale wymierzonego w nacjonalizm. Zawsze łopatologicznie: białe jest białe,